

**Andrzej Domagalski**

Kraków

## **Magia Krakowa**

Zarówno zjawiskowa i niepowtarzalna Ewa Demarczyk, jak też jedyny w swoim rodzaju balladzista o zacięciu satyrycznym, związany z lubelskim środowiskiem twórczym Kazimierz Grześkowiak pierwsze laury artystyczne zdobywali w Krakowie podczas Studenckiego Festiwalu Piosenki. Z kolei, znacznie od nich młodszy Bogusław Diduch podczas studiów w podwawelskim grodzie zdołał mocno nasiąknąć atmosferą miasta oraz klubów studenckich i po powrocie do rodzinnych Gorlic zaczął tworzyć swoiste zagłębie piosenki poetyckiej, zasluchany w niezwykle piosenki Demarczyk i Grześkowiaka. Jego „Karczma...” przeznaczona onegdaj do „rozbiórki” ma się mimo upływu lat całkiem dobrze...

### **EWA DEMARCZYK**

Jej niezapomniane piosenki wznosiły się na wyżyny artystycznego mistrzostwa, ścisłały za gardło z wrażenia. Ewa Demarczyk, „panna, madonna, legenda tych lat” – postać jedyna i nie do powtórzenia. Fenomenalna, perfekcyjna w każdym calu, nieprzewidywalna. Z dnia na dzień stała się gwiazdą światowego formatu. Ceniona i uwielbiana za ekspresję śpiewanych przez nią tekstów, niebywałą osobowość estradową i niepowtarzalne zdolności interpretacyjne. Piosenkarce do zrobienia fenomenalnego spektaklu – a sale koncertowe szturmowały tysiące jej fanów – wystarczyła, jak wspomina jej kolega piwniczny Tadeusz Kwinta, czarna sukienka i egipski makijaż, podkreślający kąciki oczu. Doda je: – Ewa w czasie występu nigdy nie mrugała oczami. Na tym także

polegał magnetyzm tej postaci. Ona, jak wąż, zwyczajnie hipnotyzowała publiczność. Niezależnie od tego, co śpiewała, zawsze była przejmująca. Nawet kiedy były to figlarne *Groszki i róże*, w tej figlarności było coś takiego, co przesywało.

Śpiewała najczęściej w sukienkach szytych przez mamę Janinę („Suknie? Mama, tylko mama”, mówiła w programie Niny Terentiew *Zwierzenia kontrolowane* w 1999 roku). W rozmowie z Bohdanem Gadowskim („Angora”, czerwiec 1998) Ewa Demarczyk, urodzona w styczniu 1941 roku w Krakowie i tamże też zmarła w sierpniu 2020 roku, mówiła: – Głos odziedziczyłam po ojcu [Leonard, rzeźbiarz z dyplomem ASP – AD] – który miał wspaniały tenor o niepowtarzalnym dramatycznym brzmieniu (...).

Po ukończeniu Państwowej Szkoły Muzycznej II stopnia im. Władysława Żeleńskiego w Krakowie (1960) nastał dla Ewy Demarczyk czas poszukiwań, nie bardzo wiedziała, które ze swoich zainteresowań wybrać – zdawała na architekturę, studiowała grę na fortepianie na Akademii Muzycznej, interesowała się także aktorstwem. Okazało się wkrótce, że to muzyce i śpiewaniu poświęci się bez reszty.

Architekturę szybko porzuciła, naukę w Akademii Muzycznej w klasie fortepianu przerwała po pierwszym roku i poświęciła się nauce w PWST w Krakowie (szkołę ukończy już jako gwiazda piosenki w 1966 roku). Na przełomie 1960 i 1961 roku trafiła do kabaretu Akademii Muzycznej Cyrulik: – Przeżywalismy ją nawet Salmonella (...) ścięła włosy, wyglądała jakby wypadły jej po tyfusie. Na scenie wstępowało w Ewę coś demonicznego – opowiada Leon Pawlik w swojej publikacji *Krótką historia „Cyrulika”*. Zadebiutowała publicznie pod koniec lutego 1961 roku na krakowskim Balu Rymarza. – Chwilę potem w hali Wisły po jej zaśpiewanej po włosku banalnej, ale dynamicznej, piosence *Ventiquattromila baci* (Dwadzieścia cztery tysiące pocałunków) ludzie oszaleli. Wstali z miejsc. Krzyczeli: „Rany boskie! Jaki głos! Jaki temperament! Jaka dykcja!” – wspomina w tej książce reżyser tego kabaretu Rajmund Jarosz. W czerwcu 1962 roku zadebiutowała w Piwnicy pod Baranami.

– Na początku w Piwnicy Ewa ciągle kręciła się i machała rękami – wspomina piwniczny scenograf Kazimierz Wiśniak. Któregoś dnia Piotr Skrzynecki powiedział: Daj ty wreszcie spokój rękom i skup się na śpiewaniu. Najlepiej po prostu stój i patrz w reflektor nad sobą. Ewa Demarczyk posłuchała mistrza Skrzyneckiego.

Pod koniec 1962 roku już „piwniczna” Ewa Demarczyk wzięła udział w I Ogólnopolskim Studenckim Konkursie Piosenkarzy, odbywającym się w krakowskiej Rotundzie.

– Miałem już wtedy za sobą debiut w Piwnicy pod Baranami – wspomina słynny krakowski kompozytor Zygmunt Konieczny – w drugiej połowie listopada 1962 roku byłem w Rotundzie, wtedy jeszcze z nazwą Międzyuczelniany Klub Studencki, uczestnicząc z Ewą Demarczyk w I Ogólnopolskim Studenckim Konkursie Piosenkarzy, bo taką nazwę wtenczas nosił ten festiwal. Co ważne – w konkursie mogli wziąć udział wyłącznie studenci, dlatego też nie mogła śpiewać faworytka zmagania Fryderyka Elkana. Przesłuchania odbywały się w sali widowiskowej, decyzją jurorów – warto przytoczyć ich nazwiska: Lech Terpiłowski (przewodniczący), Jerzy Abratowski, Jan Biczyski, Mieczysław Frogni, Jerzy Kaszycki, Lucjan Kaszycki i Tadeusz Śliwiak. Ewa Demarczyk z piosenkami *Karuzela z Madonnami* do tekstu Mirona Białoszewskiego i *O czemu pan* do słów Agnieszki Osieckiej, obydwie z moją muzyką – zajęła drugie miejsce, ustępując pola Marcinowi Kawskiemu z Krakowa, dysponującemu niskim głosem, oraz Edwardowi Lubaszence, wtedy reprezentującemu jeszcze wrocławskie środowisko. Edek kariery piosenkarskiej nie zrobił, stał się natomiast sławny jako aktor, przez lata zresztą związany ze Starym Teatrem. W opinii znawców tematu Demarczyk została skrzywdzona takim werdyktem! W 1962 roku akompaniowałem Ewie w czasie przesłuchań. W finale odbywającym się w Filharmonii graliśmy z Mikim Obłońskim na perkusji, a właściwie na łyżeczkach.

Maria Dąbrowska w swoich *Dziennikach 1914–1965* pisała o Demarczyk: Z tysięcy piosenkarzy i miliona piosenek słyszanych w życiu trwa w mym uchu i sercu zaledwie kilka wielkich nazwisk: Yvette Guilbert, Yves Montand, Edith Piaf, Paul Anka i ostatnio – nasza polska Ewa Demarczyk. (...) Piosenka to bardzo złożony cocktail. Musi być w niej liryzm i patos, i sarkazm, i humor, i żal, a nadto – temperament, bezbłędne aktorstwo, celna muzyka, właściwy głos i znakomity tekst. Ewa Demarczyk ma to wszystko.

Z kolei Marek Rostworowski, swego czasu minister kultury i sztuki, pisał w 1967 roku w liście do brata Jana w Anglii: Jest [Ewa Demarczyk – AD] coraz bardziej żywiołowa i nie ma maniery estradowej. To jest naprawdę fenomen między światowymi pieśniarkami. Kiedy stoi przed publicznością, wygląda jak Joanna d’Arc. Gdy śpiewa powstańczy wiersz Baczyńskiego, „krew pachnie w tej sali” – jak powiedział Lechoń. Gdy śpiewa melancholijną miłowanekę Tuwima o spotkaniu w Tomaszowie i „nic nie odpowiada i je zielone winogrona”, mały złoty medalion odmyka się na samym dnie serc. Kiedy woła „Psalm

Dawida”, niebo pęka, rodząc owoc owych dwóch gwałtowników: Boga i Człowieka.

Ale nie każdego Demarczyk kupiła swoim kunsztem artystycznym. Dla odmiany poeta noblista Czesław Miłosz w liście do Marka Skwarnickiego (cytat za: M. Skwarnicki, *Mój Miłosz*, Kraków 2004) raportował: – (...) Żeby mnie przekonać, przysłali mi Demarczyk. Okropne. Sentymentalne. Kicz. (...).

Lucjan Kydryński, który nazwał kiedyś Demarczyk „Czarnym Aniołem” od tytułu piosenki *Anioły czarne* (sł. W. Dymny, muz. Z. Konieczny), w wywiadzie zamieszczonym w „Sztandarze” w 1996 roku mówił: – Ktoś powiedział, że Francja ma swojego de Gaulle’a, a polska piosenka swoją de Marczyk. Ten dowcip narodził się jeszcze w 1965 roku, kiedy wystąpiła ona w Genewie na wielkim międzynarodowym koncercie z okazji dwudziestolecia ONZ. Ewa Demarczyk, jak przystało na gwiazdę światowego formatu, miała swoje wymagania, zwane przez niektórych fanaberiami. Organizator koncertu musiał spełnić takowe trzy. Czarna podłoga na scenie („podłogę w Teatrze Żydowskim dla niej pomalowałem” – mówił dyr. Teatru Szymon Szurmiej), a na koncerty na Kubie artystka zabierała olbrzymią belę materiału, czarnego, matowego; oświetlenie, bo dla Demarczyk każda piosenka to było przedstawienie teatralne. – Siadaliśmy na sali i Ewa mówiła: Na początku tylko światło miękkie. Potem to, tamto; po trzeciej na scenie musiały być dwa czarne fortepiany. – Zestrojone. Musiałem pożyczyć z filharmonii, bo miałem tylko jeden marki Steinway – dodaje Szurmiej. W zamian niewyobrażalny sukces i stan euforii warszawskiej publiczności. W Moskwie, jak podają autorki książki *Czarny Anioł* Angelika Kuźniak i Ewelina Karpacz-Oboładze organizatorzy w 1975 roku, na oczach oczekującej publiczności w kinie Warszawa – na nic zdały się prośby towarzysza z ambasady Polski – wybijali siekierą gwoździe z drugiego fortepianu. Demarczyk, profesjonalistka w każdym calu, nagrała w dawnym ZSRR w 1974 roku płytę, do roku 2015 – wg oficjalnej strony artystki – sprzedano ponad 17 mln egzemplarzy płyt.

Demarczyk inspirowała młodych twórców. To przy niej swój muzyczny talent szlifował Zbigniew Wodecki czy skrzypek Zbigniew Paleta. Grający w jej zespole na skrzypcach Wodecki wspomina: – To co robiła z publicznością, było nieprawdopodobne. Ludzie wstawali w jakimś dziwnym śnie i bili brawo przez piętnaście minut.

Perkusista Jan Budziaszek dodaje zaś: – Zdarzało się, że mdlała w garderobie. Po niektórych recitalach brakowało jej tchu i schodząc ze

sceny, musiała się na kimś wspierać. Sama Demarczyk, pytana na tę okoliczność przez Terentiew w 1999 roku w *Zwierzeniach kontrolowanych*, odpowiadała:

– Nie uznaję sztuki dla sztuki. Jak gasną światła, to zapala się moje, którego nie widać, ale ono jest, a ludzie to czują. I ja nigdy nie kłamałam wobec publiczności (...) mam obowiązek śpiewać maksymalnie dobrze. Śpiewam nastrój (...).

Na przełomie stycznia i lutego 1967 roku artystka zarejestrowała utwory, które ukazały się na jej debiutanckim albumie *Ewa Demarczyk śpiewa piosenki Zygmunta Koniecznego*, na którym są piosenki do tekstów m.in. Białoszewskiego, Leśmiana, Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, w tym *Karuzela z madonnami* oraz *Grande Valse Brillante*. Album okazał się ogromnym sukcesem, sprzedając się w nakładzie przekraczającym liczbę 100 tys. egzemplarzy. Stał się jedną z najważniejszych płyt w historii polskiej muzyki rozrywkowej. Reedycja tego albumu po dwóch dekadach, bez autoryzacji artystki – o czym przeczytać można na jej stronie internetowej – bezpośrednio przegrywana z czarnego książka Polskich Nagrań z 1967 roku, miała „jakość (...) dyskwalifikującą nagranie”.

Piosenkarka, po kontrakcie z Koniecznym, nawiązała współpracę z innym świetnym krakowskim kompozytorem Andrzejem Zaryckim (*Ballada o cudownych narodzinach Bolesława Krzywoustego* do słów Galla Anonima, *Cyganka* i *Skrzypek Hercowicz* Osipa Mandelsztama, *Imię twe* Maryny Cwietajewej, *Na moście w Avignon* Krzysztofa Kamila Baczyńskiego). Andrzej Zarycki wiele lat (1966–1985, od 1972 – kierownik jej zespołu muzycznego) współpracował z Demarczyk jako jej kompozytor i pianista. Opisuje te lata w książce Andrzeja Pacuły *Życie wspominam łagodnie*:

– Była w pracy absolutnie precyzyjna. Przychodziła na próby z gotową interpretacją. Trzeba było tylko wszystko zgrać i dopracować jak należy. Kiedy coś nowego skomponowałem, to najpierw przegrywałem jej na fortepianie, tu wolniej, tu szybciej – pierwsze przymiarki. Kiedy to zaakceptowała, to pozostawało już tylko zinstrumentować utwór, parę miesięcy poćwiczyć i gotowe. Moje piosenki przyjmowała *in extenso*, na przykład *Imię twe* do wiersza Cwietajewej napisałem na gitarę i wiolonczelę i tak pozostało. (...) na próbach czuliśmy dreszczyk... metafizyczny. Boże, ileż razy go czuliśmy. Stare wygi muzyczne [m.in. Zbigniew Półtorak na skrzypcach i Marek Jamrozy na gitarze – AD] z niejednego przecież pieca chleb jedliśmy, a dostawaliśmy dreszczy. Na próbach, na

koncertach. Mieliśmy pełne porozumienie. Przystawaliśmy być zespołem akompaniującym – stawaliśmy się jednym organizmem artystycznym. Codziennie próby. Latami. Po kilkaset razy przegrany każdy utwór. Mieliśmy je wyćwiczone, można powiedzieć: wytresowane do perfekcji. Nie było żadnych problemów na scenie, na koncertach. Perfekcja, wyćwiczenie i wspólne emocje: instrumentalisty i wokalisty. Istota dobrego akompaniamentu – współistnienie. Ewa była na każdej próbie, ale nie zawsze wszystko śpiewała. Czasem zaczęła jakiś utwór, a my lecieliśmy dalej. Siadała, kurzyła papierosa i słuchała. Kilka razy przegraliśmy i na koniec zaśpiewała całość. Miała ponad 40 utworów do dyspozycji i z nich układała kolejne wersje koncertów.

Od końca lat 70. Ewa Demarczyk nie tylko nie nagrywała w studio, ale także koncertowała coraz rzadziej. W 1986 roku rozpoczął działalność Państwowy Teatr Muzyki i Poezji – Teatr Ewy Demarczyk. Problemy z prowadzeniem tej placówki, spory z władzami miasta, niejasne postanowienia prawne dotyczące lokalizacji teatru, próby znalezienia nowego miejsca – wszystko to stopniowo oddalało artystkę od scenicznych kreacji. Z przyczyn formalnych teatr został w 2000 roku, po 14 latach działalności, zamknięty.

Piotr Skrzynecki charakteryzował w „Pani” w 1997 roku charyzmatyczną artystkę:

– Utalentowana, natchniona przez Boga talentem niezwykłym. Jej głos jest fenomenem! Jeszcze w połowie lat 90. można ją było usłyszeć na żywo. Zamilkła jednakże, wycofała się z życia publicznego, skutecznie ukrywając się przed dziennikarzami i fanami, ale jej niezwykle piosenki nadal mają magiczną moc.

Andrzej Zarycki wspomina niezwykle koncerty w Paryżu:

– Z koncertów w „Olimpii” pamiętam wielką przyjaźń dla Ewy pana Brunona Coquatrix i hołd, jaki złożyła Ewie ówczesna gwiazda francuskiej piosenki – Maria Laforet. Otóż myśmy wystąpili w pierwszej części wieczoru, a ona miała śpiewać w drugiej. Kończymy koncert, a tu owacja na stojąco, ludzie nie chcą Ewy za nic puścić ze sceny. A ona nigdy nie bisuje. Występ Laforet opóźnia się. Publiczność wciąż wiwatuje. Dopiero jak pani Laforet, wychodząc na swój występ, najpierw skłoniła się przed Ewą, która już usiadła na widowni, zaprzestali wiwatować. W Paryżu Ewę kochali...

I pomyśleć, iż – cytując za *Anegdotami* Lidii Stanisławskiej – (...) na początku zawodowej drogi pani Ewy komisja krakowskiej PWST tak oto

oceniła predyspozycję kandydatki na gwiazdę: „Dykcja dostateczny minus, warunki zewnętrzne dostateczny, głos dobry, wyrazistość... dostrzeżalna! (...) Ewa Demarczyk nadal w Polsce jest postacią legendarną. Lata milczenia artystki były jednakże wielką, niepowetowaną stratą...

## KAZIMIERZ GRZEŚKOWIAK

Niezapomniany twórca. Był kompozytorem, satyrykiem i piosenkarzem, ale nie tylko. Jego wielkie przeboje, jak chociażby legendarny utwór *Chłop żywemu nie przepuści*, pamiętane są do dzisiaj. Niedoszły orientalista (rozpoczęte i nieukończone studia na UJ) i duchowny (rok studiów Seminarium Duchownym w Poznaniu), niedoszły absolwent psychologii na Wydziale Filozofii na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Dyplom aktorski uzyskał eksternistycznie. Satyryk z wielkim zacięciem kabaretowym, pisarz i – jak mawiał – z konieczności kompozytor, przeżył zaledwie 58 lat (1941–1999), umierając na zawał serca w Lublinie, gdzie żył i tworzył pod koniec swego życia. Mimo jednorocznego pobytu w seminarium w Poznaniu i mimo przyjaźni z rektorem, był antyklerykalny. Doczekał się nawet reprimendy z ambony po tym, jak dał prasowe ogłoszenie, że nic go nie łączy z senator Alicją Grześkowiak z Torunia.

Urodzony w Ostrowie Wielkopolskim, artysta zaczął śpiewać w poznańskim seminarium, gdzie też nauczył się grać na gitarze.

– Zacząłem śpiewać w seminarium będąc na etapie Presleya. Pierwszą recenzję otrzymałem w 1961 roku w „Gazecie Krakowskiej”. Było to dokładnie jedno zdanie w większym tekście, które doskonale pamiętam: „Podobał się również młodzieńcy Kazimierz Grześkowiak, będący czymś w rodzaju chłopięcej Karin Stanek”. Natomiast pierwszym konkursem, którego zostałem laureatem, był – uwaga – Lubelski Konkurs na Piosenkę Gastronomiczną w 1964 roku. Śpiewałem wtedy w knajpach: Europie, Powszechnej, Lubliniance, Pod Fafikiem... Okropne rzeczy śpiewałem – opowiadał Grześkowiak w 1991 roku, w artykule Andrzeja Molika, zamieszczonym w „Kurierze Lubelskim”.

Ale pierwszy ogólnopolski, znaczący debiut nastąpił w trzeciej dekadzie listopada roku 1966, kiedy to Grześkowiak, reprezentujący lubelskie środowisko, został jednym z dziesięciu laureatów V Ogólnopolskiego Konkursu Piosenkarzy Studenckich wespół m.in. z Urszulą Popiel i Januszem Wiertkiem z Krakowa. Rok później, w 1967 roku na V Krajowym Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu wykonał nagrodzoną autorską

piosenkę *Czy już mnie nie kochasz?* Rok wcześniej, jako dziennikarz, recenzował tenże festiwal. Kazimierz Grześkowiak z dnia na dzień stał się ikoną nurtu satyrycznego.

W kolejnym roku zdobył Grand Prix tego właśnie festiwalu za piosenkę *Odmieniec* z własnymi słowami, do muzyki Katarzyny Gärtner, a w 1970 roku Nagrodę Telewizji Polskiej za piosenkę *To je moje*. Po latach Grześkowiak wspominał:

– W 1968 roku w Opolu zepsuto mi całą przyjemność, dlatego że właściwie moralnym zwycięzcą tego festiwalu była piosenka Silnej Grupy pod Wezwaniem *Chłop żywemu nie przepuści*, ale z pewnych względów, „co Pan wiesz, a ja rozumiem”, ta piosenka nie mogła dostać nagrody i dostała tę nagrodę taka „łoj” pioseneczka *Odmieniec*, napisana wspólnie z Kasią Gärtner. Żeby było śmieszniej myśmy tę piosenkę napisali na konkurs piosenek o tematyce wiejskiej pół roku wcześniej, gdzie nie dostała w ogóle żadnej nagrody! Ja tych nagród w Opolu nazbierałem razem osiem – łącznie z wycieczką do Afryki, gdzie się pierwszy raz, ale za to porządnie, topiłem – przynajmniej w Morzu Śródziemnym, a nie w jakimś Bałtyku!

Efektom współpracy z Gärtner była słynna *Msza beatowa* (1968), do której Grześkowiak opracował teksty. Od 1968 roku Kazimierz Grześkowiak (mówił przekornie o sobie: – Sam musiałem to śpiewać mimo braku głosu, aparycji, dykcji i wszystkich innych rzeczy) związany był przez 6 lat z kabaretem Silna Grupa pod Wezwaniem, którego był współzałożycielem wraz z Jackiem Niezychowskim, Tadeuszem Chyłą i Andrzejem Zakrzewskim, i z którym wystąpił podczas otwarcia Mistrzostw Świata w Piłce Nożnej w 1974 roku. Do najbardziej znanych utworów jego autorstwa należą: *Chłop żywemu nie przepuści*, *Odmieniec*, *Panny z Cicibora*, *W południe*, *To je moje*, *Jak się uprę*, *Kawalerskie noc*, *Czy już mnie nie kochasz*. Grześkowiak zwykł mawiać, iż do śpiewania zainspirował go Jędrzej Wowro, świątkarz beskidzki, któremu zadeedykował piosenkę *Salonowy świątek*. Wywodzący się z Lublina artysta, zagrał u Hieronima Przybyły rolę sapersa Ziutka w *Rzeczpospolitej babskiej* (1969), komponując ponadto do tego obrazu piosenkę *Była wojna*. Z kolei do filmu *Milion za Laurę* (1971) napisał oraz wykonał piosenkę *Kawalerskie noce*. Zagrał ponadto sanitariusza i zaśpiewał piosenkę *Codziennie wolna sobota* w krótkometrażowym filmie Marka Piwowskiego *Bulgot* (1982).

W Ostrowie Wielkopolskim, gdzie ukończył III Liceum Ogólnokształcące, uhonorowany został ulicą swojego imienia, a w Lublinie,



z którym się związał w 1960 roku, w restauracji Hades nadal serwowana jest golonka à la Grześkowiak, czyli golonka gotowana w wódce, według przepisu artysty. Krakowska aktorka Nina Repetowska na łamach „Piosenki” w roku 2006, przy okazji opowieści o studenckich festiwalach piosenki, wspominała artystę: – Pamiętam uroczego Kazia Grześkowiaka. Bardziej z bankietu, po którymś tam konkursie, niż z estrady. Bankiet po był oczywiście w Jaszczurach. Kazio śpiewał i wrzeszał nas do białego ranka piosenką *Anioł daltonista*, grając na gitarze i wlewając w nią wódkę. Bo pił właśnie do gitary. Działo to się w listopadzie roku 1966, kiedy to wzmiankowany twórca znalazł się w gronie dziesiątki laureatów V Ogólnopolskiego Konkursu Piosenkarzy Studenckich.

Chłop żywemu nie przepuści! Chłop żywemu nie przepuści! Jak się żywe napatoczy, nie pożyje se a jużci! – napisane przed iluś tam laty przez niedoszłego duchownego i znawcę Wschodu bynajmniej nie trąci myszką. Ma wartość uniwersalną, zwłaszcza w warunkach polskich.

– Nie ma chyba nic piękniejszego dla człowieka piszącego – tłumaczył artysta – jeżeli jego sformułowanie wchodzi w codzienny obieg i staje się powiedzeniem. I tak się stało z tytułem tej piosenki napisanej wspólnie z Kazikiem Łojanem. A najlepszy dowód na to, że to jest do dziś żywe, to to, że ja czytałem już różne przeróbki tego np. ostatnio napisali, że „chłop rządowi nie przepuści” i inne takie! A właściwie to my z Kaziem Łojanem możemy powiedzieć o sobie, że jesteśmy – Matko Boża – wieszczami.

O swoim opolskim debiucie w 1967 roku Kazimierz Grześkowiak mówił przed laty:

– U mnie nic w życiu nie może być normalne, nawet to Opole nie było normalne. Każdy zaczynał od debiutu, a ja zacząłem od pisania. Otóż pierwszy artykuł jaki w ogóle w życiu napisałem, to była recenzja z festiwalu w Opolu. A na następny rok, na to samo Opole, pojechałem już jako debiutant. Wystraszony, biedny... Patrzę, a tu mój przyjaciel z Lublina – Piotruś Szczepanik, gwiazda, „kormoran pełny”! Podchodzę do niego zachwycony. Piotr mnie wita serdecznie, przedstawia swoim przyjaciołom: – Poznajcie się! Znakomity dziennikarz z Lublina, świetne pióro. A ja mówię: – Wiesz co, Piotruś! Ja tu nie przyjechałem pisać, tylko śpiewać! Spojrzał na mnie dziwnie i spytał: – A po co? Nie wiem, może i miał rację, ale jakoś tak się stało, że dostałem nagrodę za debiut i to tak długo brzmi: „Za najlepszy debiut autorsko-kompozytorsko-wykonawczy”. Bo ja jestem taka pazerność chodząca, że tak – nikomu nie dać zarobić. Samemu sobie napisać, samemu zrobić muzyczkę

i samemu wykonać! Zresztą, to wynikało nawet i z tego, że kto chciałby to śpiewać? Sam musiałem to śpiewać, mimo braku głosu, aparycji, dykcji i wszystkich innych rzeczy. Wtedy dostaliśmy nagrodę za piosenkę *To je moje*. Ówczesne jury chyba już czuło na sobie oddech powszechnej prywatyzacji!

Pisał nie tylko teksty piosenek, w połowie lat 60. minionego wieku sprawdził się jako felietonista – współpracował z lubelskim „Sztandarem Ludu” (publikował w dodatku „Kultura i Życie”), później również z „Kurierem Lubelskim”, choć była to współpraca dość nieregularna. Przez kilka lat pracował również nad własną książką *Obszczymurki*, którą dopracowywał do ostatnich chwil życia. Artystę wspomina Wojciech Rotarski, księgarz z Lublina:

– Kazimierza Grześkowiaka pamiętam, jak w połowie lat 90. odwiedził naszą księgarnię. Kierowałem wtedy księgarnią Bibliopola w Lublinie, a pan Kazimierz wpadał do nas, by zapoznać się z nowościami. Nie szukał powieści, wołał poważniejsze lektury. Wspominał, że pracuje nad książką *Obszczymurki*. Oczywiście, że wiedziałem kim jest, kim był. Znałem, głównie z radia, jego przeboje, w tym moje ulubione – *Salonowy świątek* i *Rozprawa o robokach*. Kiedyś u kolegi wysłuchałem z płyty mszę beatową *Pan przyjacielem moim* z jego tekstami i muzyką Katarzyny Gaertner. Żałowałem, że nie miałem jego płyt. Dlatego ucieszyłem się, gdy w 1996 roku Polskie Nagrania wydały płytę CD z jego piosenkami. Okazało się, że pan Kazimierz się nie cieszy, bo to była piracka płyta – nikt tego z nim nie uzgadniał. Na szczęście udało mi się doprowadzić do porozumienia Artysty z producentami. Zorganizowałem 2 lipca 1996 roku w naszej księgarni wieczór promocyjny płyty *Chłop żywemu nie przepuści*, na którym Kazimierz Grześkowiak wykonał kilkanaście swoich utworów. Pozostały mi po Nim dobre wspomnienia i nagranie na kasecie z tego właśnie wieczoru.

Jak wspominają znajomi z Lublina, nazywający Grześkowiaka Saszą, pod koniec życia udało mu się przezwyciężyć chorobę alkoholową. Zamierzał wrócić na scenę z nowymi programami artystycznymi. Miał wiele planów na najbliższy czas: koncerty w Polsce i na świecie, współpraca z innymi twórcami, nowe płyty, książka. Zmarł nagle na atak serca 12 stycznia 1999 roku w Lublinie. Miał 58 lat.

Nurt plebejski preferowany i uprawiany przez Grześkowiaka wbrew pozorom nie stracił na aktualności i popularności nawet w XXI wieku – w 2001 roku ukazał się album Lubelskiej Federacji Bardów, nagrany w Studiu im. Agnieszki Osieckiej w Warszawie, zatytułowany właśnie

*Kazimierzowi Grześkowiakowi* – do ponadczasowych tekstów Grześkowiaka muzycy z Federacji skomponowali własną muzykę, dając utworom powiew świeżości. Zaś w roku 2008 Kazik Staszewski nagrał solową płytę z piosenkami Silnej Grupy pod Wezwaniem zatytułowaną *Silny Kazik pod Wezwaniem*. Wcześniej jako Kazik na *Żywo* w albumie *Las Maquinas de la Muerte* zamieścił piosenkę Kazimierza Grześkowiaka *W południe*.

## BOGUSŁAW DIDUCH

Niespełna trzydziestotysięczne Gorlice u podnóża Beskidu Niskiego przed laty były swoistym zagłębiem piosenkarsko-muzycznym. Rodzili się bowiem w tej pięknej miejscowości, niczym grzyby po deszczu, utalentowani twórcy, którzy zaistnieli następnie na ogólnopolskiej scenie artystycznej. Z tego miasta pochodzi m.in. uznany pianista jazzowy o międzynarodowej sławie Vladislav „Adzik” Sendeci i jego równie uzdolniony brat Stefan, Mirosław Czyżykiewicz, Tadeusz Krok, tu wreszcie – w regionie gorlickim – przyszedł na świat Bogusław Diduch, twórca popularnego zespołu o nieco tajemniczej nazwie Ostatnia Wierczerza w Karczmie Przeznaczonej do Rozbiórki.

– Urodziłem się w 1954 roku zimą w pałacu hrabiego Władysława Długosza w Siarach pod Gorlicami – wspomina w drugim roczniku „Piosenki” Diduch. – Długoszów już tam, z wiadomych względów, nie było. Była dyrekcja Stadniny Koni Huculskich i mieszkania pracowników. Rodzice pracowali w dyrekcji, a pałac był też centrum kultury i rozrywki dla mieszkańców z okolicy. Żywa muzyka tętniła co sobotę podczas zabaw i potańcówek, na okrągło „grał” radiowęzeł z jedynym programem Polskiego Radia, potem radio „Tatry” i „Rapsodia”. Muzyka stała się dla kilkulatek codziennością. Stąd prosta droga do zakładowego ogniska muzycznego, potem zespołu akordeonowo-mandolinowego, z którym odwiedzałem liczne wówczas przeglądy muzyczne na całej Rzeszowszczyźnie; wtedy to miało miejsce pierwsze zauroczenie folklorem Pogórza. Pierwsze kapele w gorlickim LO im. Marcina Kromera i spotkanie z Adzikiem i Stefanem Sendeckimi, które wywróciło moją muzyczną optykę. Kiedy zacząłem studiować na UJ polonistykę, ja, chłopak z przysłowiowej Męciny Małej, byłem już gotowy na spotkania ze zjawiskami spoza programu PR i TVP.

W roku 1983 odbył się V Ogólnopolski Przegląd Piosenki Autorskiej. Jury konkursu w składzie: Małgorzata Bratek, Piotr Bakal, Przemysław

Gintrowski, Wojciech Godzięba-Niżyński, Jacek Fedorowicz, Waldemar Parzyński i Jerzy Andrzej Marek jako przewodniczący, przyznało tam trzy równorzędne pierwsze nagrody: Piotrowi Bukartykowi z Gorzowa Wielkopolskiego, Bogusławowi Diduchowi z Męciny Małej i Tomaszowi Opoce z Warszawy.

– Wtedy to, już po koncercie laureatów i rozdaniu nagród, w barku Hybryd, wówczas mieszczących się na ulicy Kniewskiego, Przemysław Gintrowski zadał mi pytanie, które stało się przyczyną głębszej refleksji: skąd facetowi zamieszkałemu w Męcinie Małej przyszedł do głowy rozważania o powstaniu w Wandei czy też zgryźliwym charakterze Aleksandra hrabiego Fredry? Nie były to jeszcze czasy, gdy nasz Beskid Niski obsiadły desanty spadochroniarzy z „wielkiego świata”. Byłem klasycznym „tutejszym”. Zawsze, z wyjątkiem lat studiów w Krakowie, mieszkałem i pracowałem w Gorlicach lub najbliższej okolicy. Pytanie Gintrowskiego po dziś zadają mi często i inni ludzie, a ja dzięki temu przebiegam pamięcią przeszłość, szukając siebie – zwierza się Diduch w „Piosence” i wspomina początki zespołu:

– Był marzec 1978 roku. Wróciliśmy z żoną z Krakowa po zakończeniu studiów. Pewnego wieczoru zapukali do nas Jacek Pietrusza i Wiesław Lewek. Przypomnieli czasy licealnego grania. Proponowali powrót do zespołowego muzykowania. Ucieszyłem się, ale zaproponowałem inną formułę, nowy repertuar. W liceum graliśmy bowiem rock and rolla, a po zetknięciu się z twórczością Belona, Sikorowskiego, Adamiak, Stokłosa czy braci Mociosów – moje preferencje muzyczne zupełnie się zmieniły.

Tak powstał zespół w składzie: Bogusław Diduch (gitary, śpiew), Wiesław Lewek (gitary, śpiew), Tadeusz Łuczejko (śpiew, flet prosty), Jacek Pietrusza (kontrabas). Było to na przełomie lutego i marca 1978 roku w Miejskim Ośrodku Kultury w Gorlicach w piwnicach Lamusa. Podczas jednego z licznych bankietów, które wieńczyły wtedy próby zespołu, gorlicki artysta malarz Waclaw Sitar przyglądał się z rozbawieniem zastawionemu stołowi i siedzącym przy nim bankietowiczom i złapał się za głowę, mówiąc: – O, k..., ostatnia wieczerza w karczmie przeznaczonej do rozbiórki. Członkowie zespołu szukali wówczas nazwy, a usłyszawszy te słowa, wszyscy jednogłośnie przyjęli słowa malarza za nazwę. Rozpoczęły się następnie podróże po kraju w piekielnie zatłoczonych pociągach i autobusach.

– Parę niecodziennych wydarzeń z życia zespołu wyliczę. Na przykład koncerty z Wolną Grupą Bukowiną (jeszcze z Wojtkiem)

w Bieszczadach, poranne nagrania po nieprzespanych nocach w Polskim Radiu Olsztyn, Kraków i Zielona Góra, program II PR Warszawa. Najbardziej utkwił mi w pamięci wspólny koncert w Sanockim Domu Kultury z Wolną Grupą Bukowiną. Graliśmy w dużym składzie z żyjącym jeszcze Wojtkiem Belonem, Lorą Szafran i krośnieńskim big bandem jazzowym „Vitro Band”. Zabawa zakończyła się w sercu Bieszczad, na hali nad miejscowością Rzepedź, gdzie taksówkami zawiózł nas ówczesny dyrektor rzeszowskiej estrady Erazm Buchelt – opowiada Diduch.

W 1979 roku do zespołu dołączył Mirosław Czyżykiewicz, a w repertuarze pojawiły się piosenki Andrzeja Górszczyka. Ze swoimi tekstami przyszedł Franciszek Brataniec – poeta gorlicki, członek krakowskiej grupy poetyckiej „Tylicz”. Te trzy osoby – Czyżykiewicz, Brataniec i Górszczyk odmieniły oblicze istniejącego zespołu. Aranżacje Czyżykiewicza, teksty Górszczyka i Bratańca ukierunkowały jego styl na długie lata. – Niespokojna dusza Czyżykiewicza wielokrotnie stawiała zespół w trudnych, ale komicznych sytuacjach. Jego głowa, zaprzątnięta twórczymi pomysłami zapominała o podstawowych sprawach np. opiece nad własnym instrumentem i dobytkiem – przypomina lider grupy. Wspomina, jak zespół wracał 100 km spod Łodzi do Włocławka po zostawiony przez Mirka w hotelu sweter. Pamięta, że był to zwykły sweter, typu kangur, z kieszenią z przodu.

Zespół miał formułę otwartą. Muzycy przychodzili i odchodzili. Był też w zamyśle „narzędziem” do popularyzacji nowego zjawiska na mapie kulturowej miasteczka Gorlice i okolic – piosenki turystycznej i poetyckiej, poezji śpiewanej. Wkrótce „zaliczenie” koncertu zespołu stało się dla gorliczan obowiązkiem, a próby w Lamusie – wydarzeniem kultowym, trwającym niejednokrotnie do białego rana. Gorlice zyskały miano zagłębia piosenki poetyckiej. Zespół stał się też swojego rodzaju „akademią muzyki i stylu”. Wychował wielu współpracowników i następców, a licznym muzykom, których zaprosił do współpracy, zmienił muzyczne nawyki i obyczaje. – Myślę, że tym, co motywowało naszych muzyków do pracy i samodoskonalenia, była chęć uzyskania sukcesu wraz z zespołem oraz łączące nas wszystkich koleżeństwo, a nawet przyjaźń. Obok wymienionych wyżej założycieli z zespołem pracowali: oprócz Czyżykiewicza, Dziunek Kuźniarski, Stefan Łukaszyk, Marek Walter, Aleksander Wrózek, Wiesław Orchel, Sobiesław Pawlikowski, Jerzy Schirmer, Bogdan Ganczarski, Krzysztof Jędrzejowski, Robert Gryzik, Grzegorz „Kołek” Grądalski, Grzegorz Zawiliński, Arkadiusz

Zawiliński, Alfred Duda, Marcin Ginalski, Maciej Lewek, Mirosław Bogoń, Tomasz Kubala, Grzegorz Jarek, Krzysztof Mika, Rafał „Boni” Boniśniak, kwartet smyczkowy: Aleksandra Przybyłowicz, Kamila Łasak, Robert Gryzik, Magdalena Sołtysiak, gorlicki chór Belfer Singers. Aktualny zespół tworzą, oprócz Diducha, Wiesław Lewek, Mirosław Bogoń, Tomasz Kubala, Rafał „Boni” Boniśniak.

„Karczma” najlepiej sprawdza się w repertuarze poetyckim, choć nie stroni od kabaretu i piosenki turystycznej. Ma na swoim koncie cztery krążki wydane własnym sumptem: *Na ostatniej stacyjce przed rajem*, *Ballada niedokończona*, we współpracy z Andrzejem Grabowskim i wydawnictwem Andrzeja Żmudy adOculos, *Ballada wracająca z drogi* oraz, wydane przez Papaya Studio Rafała Boniśniaka, *Powroty*. W repertuarze zespołu znalazły się wiersze Bratańca, Ziemiańska, Andrzeja Torbusa, Henryka Cyganika, Wiesława Kolarza, Górszczyka, Krzysztofa Gomoły, Andrzeja Pacuły, Joanny Babiarcz, teksty autorskie Diducha, a przede wszystkim utwory Andrzeja Grabowskiego, poety, pisarza, satyryka, kawalera Orderu Uśmiechu, którego teksty goszczą w repertuarze Ostatniej Wieczery od początku jej istnienia.

Bogusław Diduch z wykształcenia jest filologiem polskim, filmoznawcą po Uniwersytecie Jagiellońskim i informatykiem po Akademii Ekonomicznej w Katowicach, pracował jako dyrektor Zespołu Szkolno-Przedszkolnego w Sękowej pod Gorlicami, prowadził także Studio Piosenki w Młodzieżowym Domu Kultury w Gorlicach, którego dyrektorem był w latach 1990–2000. W latach 1978–1980 m.in. lider pracował wraz z zespołem ze znanymi instruktorami w trakcie Konfrontacji Ruchu Artystycznego Młodzieży w Myślcu nad Popradem, korzystając ze wsparcia i doświadczenia: Elżbiety Zapendowskiej, Henryka Mosny, Leszka Wójtowicza, Krzysztofa Heeringa, Janusza Kondratowicza.

– Konkurs pod nazwą Poetycko-Muzyczna Bitwa pod Gorlicami to mój autorski pomysł. Narodził się w 1995 roku, kiedy Gorlice i okolice świętowały jubileusz 80-lecia historycznej bitwy. Wówczas dyrektorzy placówek kultury z miasta i powiatu otrzymali, jak na bitwę przystało, bojowe zadanie wymyślenia i realizacji imprezy nawiązującej do rocznicy. Tułając się z zespołem po różnych konkursach i imprezach, napatrzyłem się i zdobyłem nieco wprawy organizacyjnej; poprosiłem o wsparcie przyjaciół – Jana Poprawę, Wacka Juszczyżyna (który z Bukowiną zainaugurował imprezę), Czyżykiewicza, Roberta Kasprzyckiego i innych. Konkurs wystartował i kilka edycji cieszyło

się powodzeniem i frekwencją artystyczną. Utknęliśmy jednak na finansach. W tym momencie, w 2001 roku, pomocną dłoń podał nam Jan Poprawa, ustanawiając nasz konkurs eliminacją do Studenckiego Festiwalu Piosenki. Pojawili się artyści, a nasze władze lokalne sypnęły groszem – tłumaczy Diduch.

Zespół Ostatnia Wieczera w Karczmie Przeznaczonej do Rozbiórki pod kierownictwem Diducha zajął: I miejsce Piękno Bieszczadów w piosence – 1978, I miejsca – Konfrontacje Ruchu Artystycznego Młodzieży (KRAM) w latach 1978–1979, I miejsce – Spotkania Młodych Autorów i Kompozytorów (SMAK) – Myślibórz 79, I miejsce i Nagroda Publiczności – Olsztyńskie Spotkania Zamkowe’80. Indywidualnie Bogusław Diduch: I miejsce Ogólnopolski Przegląd Piosenki Autorskiej – Warszawa’83 indywidualnie Bogusław Diduch; II miejsce SMAK – Myślibórz’85 – indywidualnie Bogusław Diduch.

Twórca Karczmy przytacza anegdotę:

– W roku 1999, pracując w gorlickim Miejskim Ośrodku Kultury, w zamian za lokum i subwencjonowanie, byliśmy zmuszeni „uświetniać” różne lokalne uroczystości i fety. Zaangażowano nas też w miejską akademię z okazji 1 maja. Debatowano, co też moglibyśmy zagrać na tak podniosłej uroczystości. Niewinnie zaproponowaliśmy kilka ballad, o Beskidzie, Bieszczadach, marynarzach z *Titanica*. Organizator, dyrektor Gorlickiego Centrum Kultury, człowiek sympatyczny i serdeczny, „kupił” repertuar w ciemno. Jakaż zapanowała na sali konsternacja, kiedy po części oficjalnej, „orderowej” i dziękczynnej, z głośników dobiegły słowa *Ballady o marynarzach z Titanica* Andrzeja Górszczyka: „bo gdy *Titanic* tonął, to też orkiestra grała”.

Przytacza też inną, nazwijmy to, „toruńską”:

– W 1980 roku zakwalifikowaliśmy się z zespołem do finału Ogólnopolskiego Młodzieżowego Przeglądu Piosenki, który był ostatnim szczeblem na drabinie do opolskiego koncertu debiutów. Impreza miała miejsce w Toruniu. Kiedy dotelepaliliśmy się do tego pięknego miasta mikrobusem marki „Nysa”, zakwaterowano nas w pierwszorzędnym hotelu, w wybornym towarzystwie kolegów muzyków i piosenkarzy. Nastrój był fantastyczny. Rzuciliśmy się w wir towarzyskich posiadów, koleżeńskie muzykowanie i bankietowania. Zapomnieliśmy niestety o próbach akustycznych. Kiedy przyszło do konkursowej prezentacji, weszliśmy bez próby na estradę tuż po występie Kuby Należytego – fortepian plus jeden mikrofon. Pan akustyk, widząc trudne zadanie nagłośnienia trzech akustycznych gitar, akustycznego kontrabasu i trzech

wokali – niestety w owych czasach wszystko przy pomocy mikrofonów – zapomniał wyłączyć swój mikrofon i po widowni rozniósł się jego głośny szept – padły słowa-klucze: o, ku..., o, ja pie.... Zagraliśmy, a potem szybko, nie czekając na werdykt, zmykaliśmy naszą „Nysą” na południe.

**Andrzej Domagalski**